

Już teraz całkiem na poważnie relacja pisana w czwartym dniu z poprzednich trzech dni. Lot Ryanair'em przebiegł bardzo spokojnie. Na lotnisku wylądowaliśmy o godzinie 23 czasu miejscowego w Pafos, z którego musieliśmy dostać się do Limassol. Co niektórych zaskoczył specyficzny zapach, który poczuli zaraz po wyjściu z samolotu.

Do Limassol musieliśmy dostać się autobusem. Jednakże wymagało to godzinnego oczekiwania, co nie było większym problemem, gdyż na dworze panowała bardzo przyjemna temperatura (bardzo zbliżona do tej z naszych letnich wieczorów w Polsce). Pan kierowca był bardzo spokojny, preferował zasadę powoli, ale dokładnie oraz pojedziemy jak mi się zachce. Autobus był bardzo wesoły, nie ze względu na nas, gdyż byliśmy bardzo zmęczeni, ale ze względu na cypryjską, wesołą muzykę. W sumie zdawało nam się, że jeden utwór nie wiele różni się od innych i co chwilę leci to samo. No, ale cóż, mimo tego bardzo wzmógł nas sen. Po około 40min jeździe dojechaliśmy do Limassol, gdzie mieli na nas czekać organizatorzy. Należy w tym miejscu zwrócić uwagę szczególnie na słowo mieli. Po kilku telefonach przyjechali po nas i ruszyliśmy do naszego hotelu. Chwilę po przyjeździe mieliśmy już okazję spróbowania miejscowego jedzenia. Dostaliśmy chyba jagnięcinę, coś na kształt naszych gołąbków oraz mielonych, tradycyjny cypryjski chlebek, wyglądający jak nasza bułka do kebabów oraz dość dziwne ziemniaki (wyglądające jak gruszki). W sumie było dość smacznie, ale o tej porze zjedlibyśmy wszystko, gdyż mieliśmy straszną „gastro-fazę”.

Po posiłku nadszedł czas na zakwaterowanie. Już wcześniej wiedzieliśmy, że będziemy wymieszani narodowo, więc pytaniem było tylko na kogo trafimy. Zaczęę od Bartka, bo to troszkę dłuższa historia. Miał trafić do pokoju z Włochami i Rumunem. Na początku rzeczywiście tak było, lecz o 3 bądź 4 w nocy, organizatorzy poinformowali go, że jednak nie jest to jego pokój, a ponieważ nie chciałem, żeby spał pod drzwiami, to przygarnąłem go do siebie, gdyż dziwnym trafem w moim pokoju (patrz Patryka) było jedno wolne łóżko. Powinienem siebie umieścić na końcu, ale jak już zacząłem, to skończę. W moim przypadku razem ze mną zakwaterowani byli Włoch (bardzo sympatyczny) oraz Bułgar (z którym bardzo się polubiłem ze względu na to, że nasze reprezentacje narodowe dzień później grały ze sobą mecz na ME w siatkówce). Olga trafiła do pokoju z Estonką oraz Bułgarkami. Pani Marlena mieszka z Estonką oraz dwoma Włoszkami (z czego jedna jest lekko zakręcona i strasznie bałagani, ale dzięki temu codziennie mamy nowe anegdotki), a Hubert mieszka z Bułgarem, który zbytnio nie preferuje sportu i mamy dziwne wrażenie, że codziennie robi sobie „dzień dziecka”, Włochem oraz Rumunem. Po tych wszystkich zawirowaniach oraz ciężkiej podróży, około 4 mogliśmy pójść spać.

Rankiem kolejnego dnia nie było nam do śmiechu. Wstawanie o 8 nie było rzeczą przyjemną, lecz widok pięknego słońca za oknem oraz powiew wiatorku sprawiły, że dzień stał się lepszy. Zjedliśmy szybkie śniadanko, a następnie zaczęły się dla nas warsztaty. Na początku musieliśmy przełamać tzw. pierwsze lody. Zaczęliśmy uczyć się swoich imion poprzez zabawę. Następnie wylosowaliśmy swojego tajemniczego przyjaciela oraz ofiarę, którą mamy zabić przez pocałowanie jej w dowolną część ciała, ale tylko wtedy kiedy będziemy z nią sam na sam. Po tym, podzielono nas na grupy, w których mieliśmy różne zadania do wykonania. Grupa Olgi musiała stworzyć ekologiczno- sportowe „coś”, grupa pani Marleny oraz Bartka wykonała nowoczesne Audi z rzeczy do recyklingu, Hubert stał się modelem w ubraniach własnej roboty (w sumie można powiedzieć, że brał on wzór z średniowiecznych chłopów), a moja grupa miała za zadanie stworzyć gry integracyjne. Po warsztatach oczywiście lunch, bardzo podobny do tego z pierwszego dnia. Z racji tego, że mieliśmy trochę dłuższą przerwę udało nam się podskoczyć na basen (woda dość zimna i zaszło wtedy słońce), gdzie badaliśmy na własnej skórze czy woda zgadza się z normami unijnymi. Po tym ciężkim zadaniu organizatorzy zabrali nas na plażę, gdzie pograliśmy w siatkówkę plażową oraz kontynuowaliśmy zawieranie znajomości. Oczywiście znowu napiszę teraz o jedzeniu, gdyż nadszedł czas na kolację. Tym razem była to pizza, bardzo dobra pizza.

Czas na punkt kulminacyjny wieczoru czyli tzw. International night. Oczywiście mocna, polska reprezentacja była znakomicie przygotowana. Zapach kabanosów oraz kiełbasy podwawelskiej i krokietów roznosił się po całym hotelu, a nasze słodczyce przykuwały wzrok obcokrajowców. Krótko teraz o prezentacjach innych krajów, naszą troszkę rozbuduję.

Poznaliśmy bułgarskie sery oraz wędliny, Włosi pokazali doskonale znane nam miejsca oraz sławnych rodaków a ich jedzenie: sery, ciastka itp. były znakomite, dowiedzieliśmy się, że w prawie całej Estonii jest darmowe Wi-Fi, Rumuni nauczyli nas swoich tańców, a na tradycje Cypryjskie musimy poczekać do dzisiejszego wieczoru.

Co do naszej prezentacji, to wystąpiliśmy w szkolnych koszulkach. Przedstawiliśmy wcześniej wspomniane jedzenie; ptasie mleczko zachwycało naszych przyjaciół, a krokiety zrobiły na nich niezłe wrażenie. W pozostałej części nie chcieliśmy zanudzać ich liczbami i faktami o Polsce, więc stwierdziliśmy, że wypromujemy szkołę. Nasz LipDub oraz Harlem Shake zachwycały innych. Padły słowa, z których byliśmy naprawdę dumni. Obcokrajowcy stwierdzili, że chcieliby chodzić do tak świetnej szkoły jak nasza. Po prezentacjach nadszedł czas na dalsze integrowanie się. Cały czas podczas rozmów szlifujemy nasz angielski i stwierdzamy jasno, że bez problemów potrafimy zrozumieć oraz dogadać się z każdym, kto uczestniczy w projekcie. Co prawda to jeszcze nie czas na podsumowania, ale naprawdę bardzo polubiliśmy się i czujemy, jakbyśmy z każdym znali się przez dłuższy czas. Bardzo polubiły nas Cypryjki (szczególnie Bartka), z którymi bawimy się w łamańce językowe. Nawiązując do łamańców językowych, stwierdzam, że zabawa językami narodowymi jest świetna, bo dzięki niej w łatwy sposób uczymy się szybko nowych słówek w pięciu językach. No, ale cóż czas na dzień kolejny...

Poranek podobny do poprzedniego i intrygująca nazwa w planie zajęć czyli KOT.

Po śniadaniu wsiedliśmy do autobusu i po około godzinnej jeździe dowiedzieliśmy się, że KOT to piękna plaża z możliwością uprawiania wielu sportów. Tradycją stało się, że rano mamy energizery, czyli integracyjno- poranne rozbudzenie i rozruszanie nas. Tym razem na plaży nauczyliśmy współpracy w grupie poprzez przenoszenie piłki bez dotykania jej rękami, a następnie nadszedł czas na wyścigi rzędów, które tak naprawdę były świetną zabawą, w której znowu szkoliliśmy język, by jak najszybciej dogadać strategię wykonania danego zadania. Wyścigi wygrał zespół Bartka i Huberta (według teorii Bartka tylko dlatego, ponieważ ja byłem w innej drużynie, ale teorie Bartka to nie mądrości ludowe). Po porannym rozruchu czas wolny, który spędzaliśmy na sportowo. Na początek rekreacyjnie wybraliśmy pływanie oraz obijanie się o fale morskie w ciepłym Morzu Śródziemnym (nigdy w życiu nie mieliśmy tyle soli w ustach). Po tak ciężkim wysiłku nadszedł czas na sporty ekstremalne, czyli leżing, plażing, smażing, nie ukrywając jesteśmy jednymi z najlepszych w tych dyscyplinach. Słońca było w zenicie a na niebie żadnej chmurki, więc co prędzej trzeba było wsmarować w siebie kremy. Po sportach ekstremalnych lunch w stylu amerykańsko-greckim, czyli hamburger, frytki i musaka. Oczywiście obiad trzeba szybko spalić, więc po przerwie tenis na plaży, siatkówka plażowa oraz pływanie. I zostaliśmy mistrzami świata w nowej dyscyplinie czyli frappingu (picie frappe na leżakach przy 30 stopniach na termometrze). Nie zapominajmy również o naszych przymusowym pillingu stóp, gdyż piasek nad brzegiem morza był dość szorstki, a jego temperatura była zbliżona do temperatury powietrza. Po tak męczącym dniu wróciliśmy do hotelu. Na kolację w sumie dostaliśmy to samo, co na lunch, tylko, że wpakowane w bułkę do kebaba. Po kolacji czas wolny, który jedni wykorzystali na naukę, inny na sen, a Bartek i ja na nawiązywanie kontaktów z Polską na skajpaju. Obecnie u nas godzina 8.10 zaraz schodzimy na śniadanie, a następnie czas na wspinaczkę po górach. I w sumie w tej części skupię się na samym wyglądzie Cypru. Pomijając już pogodę, fascynuje to, że mamy praktycznie tak samo blisko nad morze jak i w góry. Ludzie są bardzo zyczliwi. Obsługa restauracji, przy których zatrzymywaliśmy się na sekundę by zerknąć na menu, od razu podchodziła do nas i witała nas z uśmiechem, a gdy już wybraliśmy restaurację często padały pytania o to czy wszystko w porządku, czy jedzenie jest smaczne oraz czy nam czegoś nie potrzeba. Ogólnie mentalności ludzi jest zupełnie inna niż w Polsce. Z ciekawostek na wyspie jest strasznie dużo kotów, które są bardzo szanowane przez mieszkańców.

Dzień czwarty rozpoczął się na dobre po śniadaniu. Celem przed naszym lunchem była wspinaczka górską, a tak właściwie bardziej schodzenie z góry. Po około godzinnej podróży zostaliśmy dowiezieni na górski szlak. Poczuliśmy się trochę jak w Polsce, gdyż roślinność u góry była bardzo zbliżona do naszej. Pierwszy raz stwierdziliśmy, że wieje troszkę chłodem, gdyż odczuwało się około 18-20 stopni. Trasa była bardzo przyjemna.

Męskiej części naszej reprezentacji udało się wykąpać pod wodospadem, ale dziwnym trafem nikt oprócz nas nie skorzystał z tej opcji, mimo tego, że w naszym odczuciu woda była cieplejsza niż pod prysznicem w hotelu. Po kąpeli został nam tylko kawałek drogi do naszego autobusu. Po dotarciu do niego zjedliśmy jak zawsze lunch (bułka z tuńczykiem, pomidorami itp.), a następnie ruszyliśmy, aby realizować zajęcia sportowe. Organizatorzy zaproponowali nam grę w piłkę nożną w goglach, które wykonali z plastikowych kubeczków, jednak szybko wycofali się z tego pomysłu, gdyż po prostu nie było widać w nich piłki. Zatem postanowiono rozegrać normalny mecz, w którym reprezentował nas Bartek. Reszta z nas wybrała siatkówkę, a po siatkówce to, co tygryski lubią najbardziej, czyli frapping. Czas mijał bardzo szybko w przepięknej scenarii górskiej. Po skończonych rozgrywkach zrobiliśmy zdjęcie, w którym pozowaliśmy jako litery do napisu „Eco-sport”. Następnie wsiedliśmy do autobusu i wróciliśmy do Limassol. Jako, że uczucie gastro-fazy włączało się u niektórych bardzo często, to postanowiliśmy wybrać się do lokalnej restauracji na tradycyjne cypryjskie jedzenie, które zresztą było bardzo dobre. Po zapełnieniu żołądków przyszedł czas na shopping. Stwierdziliśmy iż wielką stratą byłoby nie skosztować tutejszych przysmaków, więc wyszukaliśmy kulinarne perełki na półkach. Na pierwszy ogień do spróbowania poszły tajemnicze, twarde rurki wyglądem przypominające ... dobra nie powiem co. Okazało się, że jest to rodzaj bardzo słodkiej przekąski. Następnie zjedliśmy watermelon, który był zamarynowany w słoiku. Okazało się on przystawką z ciężkim do określenia smakiem. Na sam koniec został nam przepyszny ser, który bezapelacyjnie był numerem jeden podczas degustacji. Wieczór brzmiał bardzo tajemniczo, gdyż nazywano go tradycyjną nocą cypryjską. W sumie to nie wiedzieliśmy czego się spodziewać. Zostaliśmy wywiezieni kilka kilometrów poza miasto do tawerny, gdzie miała odbyć się zabawa. I znowu powiedzieć trzeba, że Cypryjczycy to bardzo mili ludzie, gdyż dbali o nas jak o najlepszych gości. Jeśli kiedykolwiek ktokolwiek zaproponuje wam tradycyjną, cypryjską noc, to musicie wiedzieć, że lepiej nie jeść w tym dniu nic, aby zostawić pusty żołądek na wieczór. Co chwila donoszono nam jedno po drugim tradycyjne dania cypryjskie, których było około 15. Stoły uginały się wręcz od jedzenia, a my zastanawialiśmy się tylko, czy nasze brzuchy pomieszczą taką ilość. Wieczór mijał bardzo radośnie i wesoło. Szczególnym wydarzeniem było międzynarodowe świętowanie 18-stych urodzin Bartka. Wiadomo, że co kraj to obyczaj, więc Bartek świętował na kilka sposobów. Oczywiście dostał 19 róż:), został nakarmiony i pobudzony tortem oraz podrzucony na krześle. Po takiej zabawie przyszedł czas na tańce. Nauczyliśmy się wielu nowych tanów z innych krajów. Bardzo interesujący był taniec pingwinów. My nauczyliśmy naszych przyjaciół Belgijki. Nie zabrakło również topowych tańców jak: macarena czy kacuchy. Niestety wszystko co dobre szybko się kończy, ale wszyscy stwierdzamy, że był to póki co najciekawszy dzień. Odbiegając lekko od tematu. Na Cyprze obowiązuje ruch lewostronny, przez co jeżdżąc tutaj autami odczuwamy lekki strach jako pasażerowie, tym bardziej, że co niektórzy bardzo ścinają wszystkie zakręty. Grunt, że kierowca autobusy jest jeździ ostrożnie.